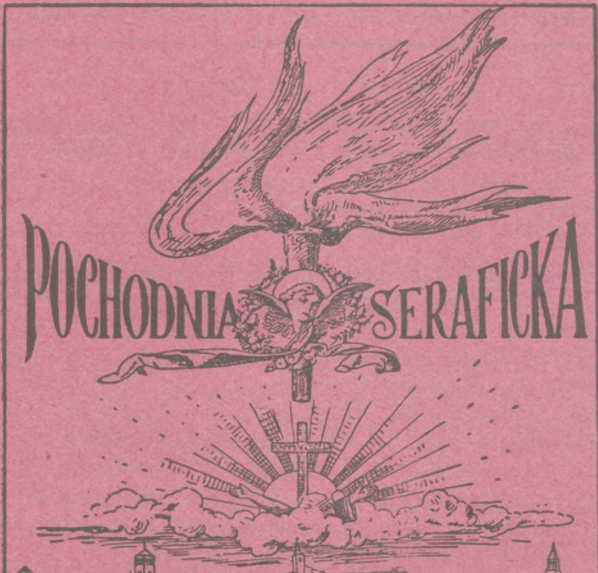
Rok IX. LIPIEC 1934 № 7.



Cena N-ru pojed. 20 gr. Pren. roczna 2 zł.

TREŚĆ ZESZYTU

OFIARY ZŁOŻYLI.

Ofiara na beatyf Czcigodnego O. Rafała Chylińskiego franc. 2 dol. z podziękowaniem za uzdrowienie siostry Teresy. Salvis decr. Urbani VIII. Ofiary na Misje franciszk: Jarosław Streer. 10. Lwów Danilewicz 2. Kraków Wilsanowa 15; Z. K. 27.

Rok IX. Lipiec 1934 r. Nr. 7.

POCHODNIA SERAFICKA

ORGAN TRZECIEGO ZAKONU I STOW. FRANC. KRUCJATY MISYJNEJ

„Poszła w góry z kwapieniem“

Co tylko dopełnił się największy cud na ziemi!... Duch św. zapalił w sercu Marji światło świata: „światłość z światłości" i oto najczystsza Matka Boga, objęta cała płomieniem miłości, z Bogiem najściślej złączona, widzi się niejako zanurzoną w morzu niebiańskiego szczęścia i nadziemskiej radości. Nadmiaru wewnętrznego wesela znieść prawie nie może — pragnie jaknajprędzej udzielić i drugim z obfitości swego serca i swoją radością sprawić radość bliźnim.

„Powstawszy więc Marja“ udała się w góry do swej krewnej Elżbiety. Cichą, samotną podróż Niepokalanej Bogarodzicy możnaby nazwać pierwszą, uroczystą procesją Bożego Ciała. Jako najbogatszy baldachim wznosił się nad Nią cudny błękit nieba — lekkie słońcem wyzłocone obłoczki kłębiły się jak dymy kadzidła — drzewa i kwiaty w swej wiosennej krasie stanowiły straż honorową — ptaszki wyśpiewywały najpiękniejsze melodje! Niewidzialne zaś dla ludzkiego oka tysiączne zastępy duchów anielskich w najgłębszej czci towarzyszyły Niebieskiemu Panu, który po raz pierwszy w najpiękniejszej i najczystszej, żywej monstrancji szedł, do „swoich“, między ludzkie syny. Tak jak Marję, tak i Jego wzywa i przynagla miłość — pragnienie niesienia radości i pomocy pierwszym po Marji Swoim na ziemi czcicielom: Zacharjaszowi, Elżbiecie, a szczególnie Janowi, przyszłemu Swemu Zwiastunowi.

Jakież uczucia przenikały w czasie tej podróży serce i duszę Marji, najświętszej Dziewicy-Matki, peł-

nej łaski, szczęścia i radości?... Czy rozkoszowała się pięknością przyrody i błękitem rozpiętego nad Nią niebieskiego stropu, wielbiąc Stwórcę słowami psalmu: „Niebiosa opowiadają chwałę Boga a dzieła rąk Jego ogłasza firmament“? Czy też pogrążoną była w cichem rozważaniu niezgłębionej tajemnicy, której „wybranem naczyniem“ się stała? Nie wiemy tego, mówi nam tylko Pismo św., że radość przyspieszała Jej kroki i kazała Jej podążać do Elżbiety, aby jej pierwszej zwiastować ziszczenie wiekowych pragnień Izraela.

W domu Zacharjaszowym oczekuje Ją nowa radość. W godzinie Zwiastowania upewnił Ją anioł, że błogosławieństwo Boże spoczęło również na krewnej Jej Elżbiecie. Spieszy więc do niej, aby w obopólnym wylewie radości dziękować Panu, że wybrał Je obydwie do wielkich przeznaczeń. Głosem pełnym słodyczy i miłości pozdrawia swoją krewną, która w tej chwili z natchnienia Ducha św. odkrywa świętą tajemnicę Marji i wypowiada ją słowami: „Błogosławionaś Ty między niewiastami i błogosławiony owoc żywota Twojego. Błogosławionaś — któraś uwierzyła, albowiem się te rzeczy wypełnią, któreć powiedziano od Pana“ (Łuk. 1, 42,45). „Pozdrowienie Marji, podług X. Biskupa Prohaski podziałało jak Boski Sakrament — były to słowa łaski i świętości, które rozpaliły duszę Elżbiety i oświeciły ją, że poznała wielkość Marji i zachwyt swój wylała w słowach podzięki i uwielbienia. Więcej jeszcze, pozdrowienie Matki Bożej dosięgło jej dziecięcia i dało mu pełnię łaski, czyniąc je wolnem od zmazy grzechu pierworodnego. Serce Elżbiety zalewa radość nieznana jej dotąd, a Marja w świętej ekstazie, jakby w odpowiedzi na pochwały Elżbiety wygłasza najwspanialszą pieśń radości — swój niezrównany hymn: Magnificat.

Od chwili cudu w izdebce Nazaretu serce Marji

było jakby spowite świętą radością. Radość ta rosła z każdą godziną, bo przecież posiadała twórcę wszelkiej radości, źródło nieprzebrane, bez początku i końca wiecznej szczęśliwości. Wewnętrzne radosne upojenie zmagało się dotąd z Jej pokorą, nie mogącą prawie pogodzić się ze swem wywyższeniem, aż nagle zanurzając się jeszcze głębiej w swem ludzkiem nicestwie — głośno objawia Swoje wybraństwo w słowach: „Wielbij duszo moja Pana, a duch mój rozradował się w Bogu, Zbawicielu moim — gdyż wejrzał na niskość służebnicy Swojej. Albowiem oto odtąd błogosławioną mnie zwać będą wszystkie narody — albowiem uczynił mi wielkie rzeczy On, który możny jest i święte imię Jego — a miłosierdzie Jego od narodu do narodu bojącym się Jego”. Oto wyraz radości Marji: przedewszystkiem głosi chwałę Bożą i zwraca się do Tego, od którego Jej przyszła, zaznacza w pokorze własną Swoją niskość a za wybraństwo swoje odpowiada chwalbą i dzięką Najwyższemu!

„Któregoś Ty o Niepokalana Panno z radością do Elżbiety niosła“ — modlimy się przy drugim dziesiątku koronki franciszkańskiej. Z radością rozpoczęła Marja swą podróż — radością napełniło Jej przyjście i pozdrowienie rodzinę Zacharjasza i radość tak wielką siłą opanowała Jej własne serce, że wypowiada się głośno w przedziwnym hymnie Magnificat. Radość Matki musi również wywołać radość w sercach Jej dzieci — tercjarzy, gdy razem z Nią idziemy w rozmyślaniu w góry do Elżbiety, bo nietylko z Elżbietą, ale i z nami pragnie Marja dzielić się Swoją radością. Jakżeż często zbliża się ta dobra Matka z pociechą i ulgą do wzgórzy naszego samolubstwa i grzechowej nędzy. Nie pomija nigdy milczeniem lub obojętnością naszego pozdrowienia, nawet najkrótszego i jak przed wiekami uszczęśliwiła Elżbietę, tak i nam odpowiada radością łaski i ma-

cierzyńskiej pomocy. W każdej Komunji św. przychodzi Marja ze Swem Boskiem Dzieciątkiem i kładzie nam w serce Tego, dla którego żadna nędza nie jest zbyt głęboką, żadna choroba śmiertelną, żadne cierpienie beznadziejnem. Daje nam wtenczas więcej niż Elżbiecie, bo żona Zacharjasza otrzymała tylko Jego błogosławieństwo, a my przez przyjęcie Najśw. Hostji dostępujemy tego samego szczęścia, jakiem się Marja cieszyła.

Święte stopy Marji wiodły Ją odważnie przez góry i potoki, przez drogi nieraz strome i uciążliwe, jednakże aby okazać swą miłość i przynieść błogosławieństwo krewnej, nie było dla Niej ani zbyt wielkiej odległości ani zbyt wielkiego trudu. Niech ten widok napełni nas ufnością i krzepiącą nadzieją, że i nasze potrzeby i nasze troski budzą w tej najlepszej Matce litość i pragnienie przyjścia nam z pomocą — że miłość bliźniego u Niej i teraz jeszcze tak samo radosna i pełna poświęcenia jak w szczęśliwym dniu nawiedzenia Elżbiety. Prośmy Ją, by i nas często nawiedzać raczyła, a gdy Ona przyjdzie — przyjdzie z Nią radość i wesele.

Wzywajmy zwłaszcza pomocy Marji na ostatnią godzinę, byśmy w Jej obecności mogli rozpocząć naszą wieczność Jej hymnem szczęścia i tryumfu: „Wielbij duszo moja Pana“! *P.*

Błogosławiony Szymon z Lipnicy.

Wyzn. Zakonu Braci Mniejszych

(18 lipca)

W połowie XV wieku przybył do Krakowa wielki Apostoł franciszkańskiego zakonu: święty Jan Kapistran. Na kazania, które ten świątobliwy — pełen Ducha Bożego — zakonnik głosił na rynku krakowskim, gromadziły się tłumy wiernych różnego stanu a do najgorliwszych słuchaczy należeli akademicy i profesorowie wszechnicy Jagiellońskiej.

Po jednem z takich kazań 130 młodzieńców — znakomitych rodem i nauką — prosiło św. Jana Kapistrana o natychmiastowe przyjęcie do Zakonu serafickiego a między nimi i bł. Szymon, który właśnie niedawno — po świetnem ukończeniu kademji krakowskiej, otrzymał stopień doktora filozofji.

Błogosławiony Szymon urodził się w Lipnicy, małem miasteczku koło Bochni.

Rodzice jego nie posiadali wielkich, ziemskich dostatków, ale zato bogaci byli w chrześcijańskie cnoty, które wszczepiali zawczasu w serce ukochanego jedynaka Szymusia.

Trzy główne cnoty uwydatniały się u tego niezwykłego dziecka: gorące nabożeństwo do Matki Najświętszej — wielka litość dla biednych, cierpiących i nieszczęśliwych i niezwykłe w tym wieku zamiłowanie modlitwy myślnej a w szczególności rozważań o niebie.

W hałaśliwych i swawolnych zabawach kolegów prawie nigdy nie brał udziału, a w chwilach wolnych od pracy najmilszym jego odpoczynkiem było: usiąść cichutko na pagórku lub łące i patrzeć w niebo. Wyraz twarzy nabożnie zadumanego dziecka wskazywał, że wzrok jego przenikał niejako firmament niebieski, do tronu Trójcy Przenajświętszej sięgał a duch jego z Królową Aniołów i z rzeszą świętych obcował.

Na tle tego niezwykłego usposobienia dziecka, powstały w rodzinnych stronach Szymusia różne legendy a między innemi i następujące opowiadanie:

Matka Szymusia — podobnie jak i sąsiadki — wypiekała bardzo smaczne bochenki chleba, które mąż jej sprzedawał w kramie na rynku lipnickim. Jednego dnia choroba zatrzymała ojca w łóżku, więc matka zwróciła się do synka ze słowami: „Szymusiu jesteś dość dużym chłopczykiem, więc zastąpisz dzisiaj tatusia, zawieziesz z Antkiem chleb na rynek i będziesz w kramie sprzedawał“.

Potem objaśniła go, ile ma brać za każdy bochenek i zawiesiła mu na szyji dużą skórzaną torbę, do której ojciec wkładał zwykle pieniądze i pobłogosławiła go na drogę.

Kobiety, które także sprzedawały pieczywo na rynku, ujrzawszy Szymusia, zdziwiły się niezmiernie i z szyderczym uśmiechem kiwały głowami, gdyż uważały nieletniego kupca za dziecko nieporadne i zupełnie niezdolne do zajęcia, wymagającego wiele sprytu i szybkiej orjentacji.

Szymuś zaś był całkiem spokojny — usiadł poważnie za stołem i czekał na kupujących. Minęła jedna godzina i druga a nikt po chleb nie zbliżył się, podczas gdy w innych kramach był odbyt nadzwyczajny.

Szymuś posmutniał i zaczął cichutko odmawiać „Zdrowaśki".

Nagle stanęła przed nim jakaś żebraczka z wygłodniałem dzieckiem na ręku i nieśmiało wyciągnęła rękę po jałmużnę. Łzy serdecznego współczucia zabłysły w oczach Szymusia i dał natychmiast biednej kobiecie bochenek chleba a drugi mały dla dziecka.

Jeszcze nie przebrzmiało gorące „Bóg zapłać!", gdy jakiś kaleka o jednej nodze stanął przed kramem i smutno patrzył na chleb. „Chcecie chleba dziadusiu? — zagadnął Szymuś — świeżutki i bardzo smaczny". — „Nie mam za co kupić!" — jęknął kaleka. „Dam chętnie za „Zdrowaś Marjo" zawołał uradowany Szymuś — i najpiękniejszy bochenek przeszedł do rąk żebraka.

Wkrótce cały tłum nędzarzy stanął przed kramem litościwego chłopczyny — każdy biedak rękę wyciągał i o wsparcie prosił. Uszczęśliwiony Szymuś energicznie się uwijał i każdemu dawał po bochenku. Dopiero wtedy trochę się zaniepokoił, gdy na stole został ostatni bochenek a w torbie nie było ani grosza....

Już miał wracać do domu, gdy jeszcze jakiś mło-

dzieniec zapytał o cenę pozostałego bochenka a dowiedziawszy się, że kosztuje 30 groszy, zafrasował się, bo miał tylko 10 gr. Szymuś pocieszył go serdecznie, dał mu uprzejmie ostatni bochenek chleba i wsunął do torby 10 groszy, jako jedyny zarobek.

Sąsiadka z drugiego kramu, która ze złośliwym uśmiechem obserwowała hojność Szymusia, zabrała się spiesznie do domu, by jaknajprędzej opowiedzieć matce miłosiernego dziecka, o zmarnowanym przez niego zapasie chleba.

Biedny Szymuś ze zbolałem sercem i smutnie zwieszoną głową wracał powoli do domu. Wiedział, że nie minie go słuszna kara i nie drżał przed nią — ale żal mu było, że zasmuci dobrą matkę i chorego ojca.

Już blisko był domu, gdy niedobra sąsiadka skończyła właśnie opowiadanie o marnotrawstwie Szymusia i oczekiwała ciekawie spotkania rozgniewanej matki z nadchodzącym synkiem.

Szymuś miał zamiar rzucić się do nóg matki, wyznać pokornie winę i o przebaczenie prosić ale nie było czasu postanowienia w czyn wprowadzić, bo matka oburzona do najwyższego stopnia z gniewliwemi słowy przypadła do niego i gwałtownym ruchem zerwała mu torbę ze szyji. W tej chwili stała się rzecz nadzwyczajna: torba wskutek silnego szarpnięcia otwarła się i wysypały się z niej nowiuteńkie srebrne pieniądze, których było tak wiele, że kilkadziesiąt razy przewyższyły wartość chleba przeznaczonego na sprzedaż.....

Złośliwą sąsiadkę jakiś dziwny lęk ogarnął — przeżegnała się trwożliwie i bijąc się w piersi usunęła się cicho do swej izby. Szymuś czuł się bardzo, bardzo szczęśliwy — zamiast spodziewanej kary doznał pierwszy raz w życiu tkliwej, gorącej pieszczoty matki, która nie mogąc słowa wymówić ze wzruszenia, z największą miłością tuliła synka do serca.

Na drugi dzień w uroczyste święto Matki Boskiej po nabożeństwie Szymuś — swoim zwyczajem usiadł na trawniku i patrzył w niebo. Wkrótce uśmiech radosny rozjaśnił jego niewinną twarzyczkę: na tle białych chmurek ujrzał Matkę Najświętszą z Dzieciątkiem Jezus.

Patrzył, patrzył i dziwił się niezmiernie, bo Matka Najświętsza zupełnie była podobna do ubogiej kobiety, której poprzedniego dnia chleb ofiarował — a Dzieciątko Jezus tak samo wyciągało rączkę, jak synek tej żebraczki.....

Początkowe nauki pobierał bł. Szymon w szkole rodzinnego miasteczka. Odznaczał się niezwykłemi zdolnościami i pilnością, więc wysłano go dla dalszego kształcenia do Krakowa. Później w Akademji Jagiellońskiej tak się wyróżnił mądrością i cnotą, że po otrzymaniu stopnia doktora filozofji zaliczony został w poczet najsławniejszych mistrzów tej najwyższej w kraju uczelni.

Świat ze swą sławą, bogactwem i przyjemnościami stał przed nim otworem, ale bł. Szymon wzgardził tem wszystkiem i wstąpił do zakonu OO. Bernardynów, gdzie ćwicząc się ustawicznie w najgłębszej pokorze, w zapomnieniu o sobie, w poświęcaniu się dla bliźnich, w ubóstwie i posłuszeństwie, doszedł wkrótce do szczytu doskonałości.

Obdarzony znakomitą wymową zyskiwał tysiące dusz dla nieba głoszeniem słowa Bożego. W kazaniach tego gorliwego zakonnika uwydatniało się szczególniej wielkie jego nabożeństwo do Najsłodszego Imienia Jezus i gorąca miłość Matki Najświętszej.

Jako magister nowicjuszów kierował się zawsze w postępowaniu z nimi największą miłością, ale przyjmował tylko tych kandydatów, którzy byli gotowi wyrzec się zupełnie własnej woli i osobistych poglądów.

Próbował ich do tego stopnia, że — z osobliwszego natchnienia Bożego — nakazywał im deptać bosą nogą

żarzące węgle. Kto się wahał, tego nie przyjmował -- gotowych zaś do spełnienia rozkazu, powstrzymywał w ostatniej chwili od wykonania ciężkiej próby. Jednemu tylko nowicjuszowi, w którym widział wielkiego ducha, pozwolił wejść na rozpalone węgle, i przechadzać się po nich. Posłuszeństwo to uwieńczone zostało cudem, bo nowicjusz takiego doznawał uczucia, jak gdyby stąpał po miękkiej murawie.

Pod przewodnictwem bł. Szymona kształcił się w nowicjacie św. Jan z Dukli, bł. Władysław z Gielniowa, czcig. Rafał z Proszowic i wielu innych wielkich sług Bożych.

W roku 1482 nawiedził P. Bóg Kraków i okolicę morowem powietrzem zwanem dżumą.

Przerażenie mieszkańców nie miało granic — w powszechnym popłochu uciekali wszyscy z miasta, zostawiając chorych bez opieki.

Bł. Szymon, uzyskawszy pozwolenie przełożonych, pośpieszył na ratunek nieszczęśliwych chorych. Dniem i nocą czuwał nad nimi, przysposabiając ich dusze na przejście w krainę wieczności i przynosząc im możliwą ulgę w strasznych cierpieniach ciała.

Wkrótce przekonał się, że sam jest też dotknięty zarazą. Mimo to, ostatkiem sił niósł jeszcze pomoc umierającym i dopiero gdy całkiem osłabł, dowlókł się z trudem do klasztoru.

Po kilku dniach, nieopisanych cierpień, wśród których ustawicznie się modlił, wpatrzony w wizerunek Ukrzyżowanego Zbawiciela, zakończył świątobliwe życie 18 lipca 1482 r.

Dla licznych cudów, jakie zaszły u grobu tego wiernego sługi Bożego, papież Innocenty XI. w trzy lata po jego śmierci zaliczył go w poczet Błogosławionych.

Święte szczątki bł. Szymona spoczywają w kościele OO. Bernardynów w Krakowie. *Esha.*

Wiosna w życiu duszy.

C. d.

„Boć zima już minęła, deszcz przeszedł i przestał. Ukazały się kwiątki po ziemi naszej". Can. II, 11—12.

Choć wiosna w naszym ogródku duchowym lśni już i zieleni się, to nie zaszkodzi nam powrócić raz jeszcze do zimy, by ze wszystkich stron dobrze jej się przypatrzeć.

Przeżywaliśmy już nie jedną zimę w przyrodzie i nie trzeba nas przekonywać o tem, jak ta zima jest smutna, przykra i dokuczliwa. Trudno jednak ludzi przekonać o zgrozie zimy duchowej, rozumieją to dusze dopiero pod szczególnym wpływem działania Bożego.

Dlaczego zima w przyrodzie tak jest smutna?

Bo brak nam ciepłego słońca.

A co się stało, czy słońce uległo zmianie? Czy wyzbyło się blasku i ciepłoty? Czy odwróciło się może od ziemi?

Tak może myśleli ludzie przed wiekiem XV, zanim Mikołaj Kopernik udowodnił, że nie słońce koło ziemi, lecz ziemia koło słońca się obraca. Słoneczko więc nie ponosi żadnej winy, bo od chwili gdy je Stwórca niby lampę cudowną na firmamencie niebios powiesił, tkwi ono cudem wszechmocy Bożej wciąż na jednem miejscu i jest niezmienne tak w swoim blasku jak i w wielkości. Winę ponosi nasza kulista ziemia, ciągle się obracając, coraz inaczej nastawia się do słońca, a gdy bardzo lub zupełnie odchyli się od jego promieni, to te nie mogą jej oświecić i wtedy jest ciemno, smutno i zimno. Mamy tu smutny, ale zajmujący obraz duszy. Zanim mu się przypatrzymy, pozwólmy myślom ulecieć do krain podbiegunowych i aż na same bieguny. Co tam widzimy? Oto wieczną zimę — śniegi i lody — nie dostrzegamy żadnej zieleni, żadnego kwiatka, owocu — gdzieniegdzie tylko mchy porastają. I czemuż te kraje tak są smutne?

Czemu tak ubogie w piękno przyrody, w blask wiosny i cudnego lata? Tylko dlatego, że promienie słońca tam nie dochodzą wcale, a jeżeli w pewnych miesiącach dochodzą to jakby ukradkiem i całkiem zukosa. Czy winno temu to śliczne Boże słoneczko? Czy jest zagniewane na te smutne kraje? Nie, lecz ziemia w tych miejscach nie zwraca się do jego promieni.

W życiu duszy tem cudownem słoneczkiem jest Miłość Boża. Obrazem najgorszych dusz, odwróconych zupełnie od tego słońca Miłości, jest biegun jeden i drugi. Dusze te, całkiem zwrócone są ku grzechom śmiertelnym. Wśród najstraszniejszych ciemności i chłodu, wśród ogołocenia z wszelkiego piękna nadprzyrodzonego uchodzi im całe życie, a czy się rozjaśni im na progu wieczności?..

Są dusze — i takich może najwięcej na świecie — co od czasu do czasu idą do Spowiedzi i pozbywają się grzechów śmiertelnych. Wtedy podobne są do lata w krajach podbiegunowych. Słońce miłości tak słabo ich ogrzewa. A dlaczego tak tylko? Bo te dusze nie mają silnego postanowienia więcej nie grzeszyć, czyli nie są na tyle zwrócone do Boga, aby Jego miłość mogła je całkiem oświecić i ogrzać. Nie Pan Bóg tu winien, ale dusze. Po spowiedzi, ledwo nastręczy się okazja, a już obracają się całkiem ku grzechom śmiertelnym.

Gdy dusza odwróciła się szczerze od grzechów śmiertelnych, z mocnem postanowieniem nie powracania już do nich, tem samem nachyliła się ku słońcu Miłości Bożej. Ale dusza ta z łatwością popełnia grzechy powszednie dobrowolne: Cóż się z nią dzieje? Wprawdzie grzech powszedni nie pozbawia jej łaski poświęcającej, czyli promieni tego słońca miłości, ale odchylać się będzie od tych zbawczych promieni o tyle, o ile zwracać się będzie ku grzechom powszednim, a gdy stale iść będzie w przeciwnym kierunku to niedługo spostrzeże

się, że jest całkiem odwrócona od słońca Miłości. Nie będzie tu winy po stronie Boga i Jego Miłości, bo Jego promienie nie przestają padać, tylko dusza się od nich odwróciła. Ojcowie ŚŚ. nie darmo przestrzegają nas tak bardzo przed dobrowolnem popełnianiem grzechów powszednich. Święty Augustyn mówi: „Pilnie się strzeżesz, aby cię jaki wielki kamień nie przywalił, ale nie mniej należy się mieć na baczności, by cię tuman piasku nie zasypał“.

— — — — — — — — — — — — — —

Przejdźmy już do naszego ogrodu duchowego. Tam już zima minęła — grzechy ciężkie zostały wyrugowane — tyle tam już pracy włożyli Jezus i dusza. Na rolę w tym ogródku promienie miłości padają mniej lub więcej prostopadle, zależnie od nastawienia się ziemi do słońca. Jeżeli zamało jest oświetlona, zamało płomienna, uboga w łaski, to nie Miłość winna, lecz dusza sama. Miłość Boża, podobnie jak słońce, jest niezmienna, zawsze gorejąca, źródło jej odwieczne, nie wyczerpujące się ani na moment. „Miłością wieczną umiłowałem cię“ — mówi Pan Bóg. Sypią się więc promienie miłości Bożej, trzeba się tylko dobrze nastawić, a jeden z nich ma moc uczynić duszę bardzo piękną, godną widoku Boga. Ale niestety! jak mało jest dusz, wystawionych stale na działanie tych cudownych promieni.

— — — — — — — — — — — — — —

W życiu przyrody, czyż ziemia zrodziłaby choć jeden kwiatek, lub tylko listeczek, gdyby była pozbawiona promieni słonecznych?

A w życiu duszy czy może być inaczej? Ach nie! tylko pod wpływem miłości Bożej rozwijać się będą kwiaty cnót.

Na jedną jeszcze rzecz zwróćmy uwagę. W świecie przyrody jest tak, że w każdym kraju spotykamy różny klimat i różną roślinność, a jak wiemy, zależy to od

nastawienia się ziemi do słońca. Największe upały są na równiku i między zwrotnikami. Dlaczego? Bo tam promienie słońca padają na ziemię prostopadle. Tam też są największe deszcze, a wskutek gorąca i obfitej wilgoci wyrasta najbujniejsza roślinność. Jakich drzew, owoców, kwiatów tam się nie zobaczy. W duszy jest całkiem podobnie. Gdy promienie miłości Bożej padają na nią prostopadle, to przychodzą upały miłości, równocześnie obfite deszcze łask Bożych — popatrzmy na św. O. Franciszka — i nie dziw, że wtedy ogród duszy zapełnia się cudownemi kwiatami cnót.

Podziękujmy P. Bogu za słoneczko, które świeci na ziemię i za to, które płonie w krainie ducha. Zwróćmy się całkiem ku niemu, a ono nas oświeci, rozpali i nie będziemy narzekać, że mało łask otrzymujemy od Boga i że świętymi zostać nie możemy. *St. Gł.*

(c. d. n.)

Pamiętaj o duszy twego dziecka.

(ciąg dalszy)

Nazajutrz gdy Hela wychodziła do szkoły, matka żegnając ją, rzekła: — „Wstąp, Helciu, po drodze do kościoła i poproś P. Jezusa, aby ci dopomógł być dzisiaj dobrą. Nie zapomnisz?

Hela poważnie pokręciła głową.

— Nie, nie! Ja bardzo pamiętam, co mama wczoraj mówiła.

Mąż i dzieci wyszli do swoich zajęć, pani Antoniowa została sama.

Szybko i ochoczo zajęła się sprzątaniem, bo miała jeszcze iść po zakupy, a chciała także wysłuchać Mszy św. i przyjąć Komunję św.

O wpół do dziewiątej już skromne mieszkanko jaśniało czystością, a pani Antoniowa z koszyczkiem w ręku wychodziła na miasto.

Skupiona i poważna choć z pogodą na twarzy przesuwała się wśród gwarnego wielkomiejskiego tłumu, który z gorączką w oczach spieszył się, gonił za pieniądzem, za używaniem, za dostojeństwami i zaszczytami.

Jakże daleką była od tego wszystkiego. — Czuła swoje wysokie dostojeństwo matki i wychowawczyni i nie pragnęła innego, a skarbem dla niej największym i najsłodszą rozkoszą życia były dzieci. Nie rozumiała tych kobiet, które szukają rozrywki poza domem, narzekają na obowiązki i ciężary życia rodzinnego. Jakie tam ciężary? Kto kocha, ten trudu nie czuje, a jeśli czuje, to sam trud miłuje.

I jej życie nie było lekkie. Te pare złotych zarabianych przez męża ledwie wystarczało na opędzenie niezbędnych wydatków, a jeszcze ciągle wisiała nad tem groza bezrobocia. — Ale ufała Bogu i spokojnie patrzyła w przyszłość. Byle dzieci dobrze wychować na ludzi „sprawiedliwych" oddających co jest Boskiego — Bogu, a co jest cesarskiego — cesarzowi, mniejsza o resztę. Bóg, który żywi ptaszęta i o nich nie zapomni.

Weszła na rynek, gdzie rumiane gosposie wiejskie i otyłe, gadatliwe przekupki rezydowały wśród stosów jarzyn, owoców i nabiału.

Pani Antoniowa chodziła powoli przymierzając w myśli zawartość małej portmonetki do rozłożonego towaru i medytując pracowicie, coby tu kupić, aby „tanio kosztowało, a dobrze smakowało".

Nie rozpieszczała podniebienia swych dzieci, ale chciała im dać pożywienie zdrowe, posilne choć proste.

Po paru kwadransach wracała do domu z koszyczkiem pełnym prowiantów i z duszą pokrzepioną modlitwą, podczas Mszy św. wysłuchanej w kościele po drodze.

Jeszcze było nieco za wcześnie na przygotowanie obiadu, więc usiadłszy przy oknie wyjęła z pudełka roz-

poczętą, koronkę nicianą i zaczęła wprawnie szydełkować. — W tajemnicy przed Felkiem robiła dla niego na imieniny komeżkę, wiedząc, że chłopak ma chęć służyć do Mszy św. i z niemałym trudem uczy się ministrantury. Nie przymuszała nigdy dzieci do żadnych nadobowiązkowych nabożeństw, wiedząc, że i Bogu taka wymuszona ofiara jest niemiła i dzieciom obrzydza modlitwę i pobożność, ale skoro spostrzegła u nich jakąś dobrą chęć lub skłonność, starała się ją podtrzymywać i rozwijać wszelkiemi sposobami, a najbardziej własnym przykładem.

Około godziny jedenastej rozpaliła ogień w kuchence i zakrzątnęła się koło przygotowania obiadu, raz po raz spoglądając na zegar i oczekując swoich stołowników. Najpierwszy wpadał Felek i rzucając torbę z książkami, aż jękła, od progu już wołał:

— Ach, mamo! Głodny jestem jak wilk! Zjadłbym wołu z kopytami. — Dobrze, dobrze, uśmiechała się matka. Ale musisz wpierw na tego wołu zarobić. Idź przynieś mi drzewa z komórki na dole.

Chłopak wykręcił się na pięcie i zasalutowawszy po wojskowemu, pędził, aż dudniały schody spełnić polecenie matki.

Tymczasem wracała Hela i zrzuciwszy tornister, zaczynała dziecięcym szczebiotem swoje codzienne sprawozdanie z tego co było w szkole.

Tym razem jednak była trochę zakłopotana i pani Antoniowa zaraz spostrzegła, że jej córeczka ma coś na sercu, ale nie było czasu na badania bo przyszedł ojciec i trzeba było podawać obiad.

Hela znająca już swe obowiązki, wytarła czystą, wilgotną ściereczką białą ceratę pokrywającą stół, rozłożyła talerze i łyżki, przysunęła krzesła dla rodziców i zarumieniona z pośpiechem stanęła obok Felka czekając na modlitwę.

Gdy pani Antoniowa postawiła wazkę z zupą na stole, ojciec przeżegnał się i głośno, poważnie odmówił krótką modlitwę przed jedzeniem: Pobłogosław, Panie Boże, nas i te dary, które z Twej łaski pożywać mamy, przez Chrystusa Pana naszego. — Amen, odpowiedziały dzieci. Felek, któremu bardzo się spieszyło, zakręcił coś tam niewyraźnie ręką koło czoła i czemprędzej chwycił za łyżkę.

— Felek! upomniał go ojciec, Ty się tak żegnasz, jakbyś muchy opędzał. Przeżegnajno się jeszcze raz porządnie.

Chłopak zawstydził się i wstawszy uczynił pobożnie znak Krzyża świętego.

Zasiedli do obiadu, który chociaż zazwyczaj złożony był tylko z dwóch dań, jednak ciągnął się dosyć długo, bo przy rodzinnym stole schodzili się nietylko poto, aby posilić ciało, lecz także aby ucieszyć i pokrzepić ducha we wzajemnej miłości i życzliwości. To też obiad należał do najprzyjemniejszych chwil w ciągu dnia. Rodzice i dzieci gwarzyli ze sobą serdecznie i śmiali się nieraz wesoło, dopiero kiedy nieubłagane wskazówki zegara posunęły się bardzo daleko, ojciec wstawał od stołu: — No, na mnie już czas! Odmawiano modlitwę po jedzeniu a Felek, i Hela całowali rodziców w rękę mówiąc: Dziękuję za obiad. (c. d. n.) *L.*

O dobrym przykładzie.

W niezbadanych a miłosiernych planach Swoich chciał P. Bóg, aby nad uświęceniem świata w XIII wieku pracował nasz Patrjarcha św. O. Franciszek, a jednym z najgłówniejszych środków pomocniczych do osiągnięcia tego celu miał się stać jego III zakon. Zaraz w początkach nawrócenia około świętej osoby Ojca poczęły gromadzić się liczne dzieci. Opuszczali świat, ma-

jątek, wszelkie dobra ziemskie i szli za nim jako bracia i siostry, aby służyć Bogu w I. i II. przez niego ustanowionym zakonie. Dla świata był to wprawdzie wspaniały i nadzwyczajny widok, ale czyż przez ten ubytek najlepszych swych jednostek nie pogrążał się sam tem głębiej w przepaści zepsucia? Nad tem myślał i zastanawiał się św. Ojciec — więc aby ratować tych, którzy żyją wśród świata, aby ich dusze naprawiać i uświęcać założył jeszcze jeden zakon, który nazwał trzecim zakonem. „Zajechał na głębię“ i wyciągnął z morza świata swą zdobycz dla świata. Nie zarzucił swej sieci na ślepo: mądrze i roztropnie sięgnął w rodzinę chrześcijańską, aby w niej znaleźć mocny fundament do przeprowadzenia swego celu. Nie opuszczając świata i żyjąc wśród świata, rodzina chrześcijańska może przez swoją zewnętrzną działalność wywierać zbawienny wpływ na otoczenie i temsamem szerzyć w duszach królestwo Boże.

Św. Franciszek wiedział, że jeżeli dla Boga pozyska rodzinę — pozyska i świat dla Boga. Pragnął więc w każdym domu chrześcijańskim, który był gotów na przyjęcie jego nauki, pozostawić z członków III. zakonu jakby duchowną załogę, któraby pracowała i walczyła dla Boga i Jego chwały, a jako broń dla zdobycia rodziny wskazał im dobry przykład.

Tercjarze powinni być wzorowymi chrześcijanami! W jaki sposób mają sprostać temu ideałowi poucza ich najlepiej reguła, którą słusznie nazwać można szkołą prawdziwej pobożności. Nie jest to pobożność zamykająca się w kościele lub w kąciku swej izdebki i nie takiej pobożności wymaga św. O. Franciszek od swych synów i córek w III zakonie. Jeżeli nawet dla swego I zakonu nie wybrał kontemplacji jako głównego celu, to tem więcej dla tercjarzy w świecie żyjących. Pragnął połączyć życie czynne z wewnętrznem życiem duchownem i urzeczywistnienie tego programu chciał

objawić światu w życiu tercjarzy. Lampa, która ma oświecać większą przestrzeń, nie może pozostawać ukrytą lub „pod korcem“, tak samo cnota i charakter człowieka. „Niechaj świeci światłość wasza przed ludźmi, aby widzieli uczynki wasze dobre i chwalili Ojca waszego, który jest w niebiesiech“ (Mat. 5. 16.) Światłem tem jest dobry przykład, który św. Ojciec pragnął zapalić wśród swych tercjarzy.

Zbawiciel nasz pojawił się na ziemi w ludzkiej postaci, aby zostawić dobry przykład — wskazał nawet jasno na niego: „Uczcie się odemnie, iżem jest cichy i pokornego serca (Mat. 11, 29.) Apostołowie zwracali uwagę na potrzebę i pożytek dobrego przykładu: „Obcowanie wasze niechaj będzie poczciwe między pogany, aby z dobrych uczynków, przypatrzywszy się wam, chwalili Boga w dzień nawiedzenia (I Piotr 2. 12.). Św. Paweł zachęca Filipensów (3. 17.) „Bądźcież naśladownikami moimi bracia: a upatrujcie te, którzy tak postępują jako macie wzór nasz“ Słowa jego: „bądźcie moimi naśladowcami, jako ja jestem naśladowcą Chrystusa“, kładzie Kościół w usta naszemu św. Ojcu. I słusznie. Franciszek zostawił cudowny przykład, który pociągnął ku Bogu niezliczone rzesze dusz — słusznie więc, jeżeli również od swych naśladowców dobrego przykładu żąda.

Któż zdobył świat dla Chrystusa? Czy Ewangelja? Czy kazania Apostołów? Pewnie, że łaska Boska posługiwała się temi środkami, ale daleko więcej zaważył przykład wysłańców i pierwszych chrześcijan, ich heroiczne męstwo, ich stanowcza wytrwałość, ich życie cnotliwe — ich wspaniałomyślna pogarda śmierci. Przepowiadanej Ewangelji słuchali poganie z mniejszą lub większą gorliwością, ale widowisko, jakie im chrześcijanie dawali w życiu i przy śmierci nie przechodziło bez śladu — zmuszało ich do myślenia, do badania i naśladowania.

Taksamo dzieje się jeszcze i dzisiaj. Ileż się pisze i mówi o cnocie! Świat cały pełen głoszonych mów, kazań i książek! Czyta się, słyszy i.. zapomina. Słowa przebrzmiewają: co wejdzie jednem uchem, wylatuje drugiem. Co się jednak widzi, pozostaje, i łatwiej chwyta się ducha, a to tem silniej i głębiej, im częściej się na to patrzy. Słusznie powiedział Seneka: „Długą jest droga przez nakazy, krótką przez przykłady". A św. Ambroży pisze: „Przekonanie działa więcej przez oczy jak przez uszy" — więcej przez przykład, aniżeli przez nauki i wskazówki. Dlaczego mówimy: powiedz mi z kim przestajesz, a ja ci powiem kim jesteś? Dlatego, że usposobienie i obyczaje twego przyjaciela nie zostaną bez śladu u ciebie; powoli lecz pewnie i stanowczo przez ciągły przykład przeciągną cię na jego stronę.

Człowiek uczy się przez myślenie, próby, badanie ale najwięcej przez naśladowanie. Tak uczy się dziecko mówić, chodzić, pisać; trudno mu zaś nauczyć się czegoś, jeżeli mu się tego w jaki sposób nie pokaże. Taksamo czeladnik wzwyczaja się do rzemiosła, a człowiek pracujący umysłowo kieruje się wypróbowanem doświadczeniem poprzedników swoich. Przykład jest najłatwiejszą, metodą naukową. Gdy się widzi u drugich i patrzy się na to przez dłuższy czas, wtenczas łatwo pojąć i zrozumieć, a chociażby się nieraz zdawało na oko, że nie mamy do tego ani siły, ani zręczności, to jednakże przez powtarzane próby naśladownictwa dochodzimy powoli w naszych wysiłkach do pomyślnych rezultatów; przykład bowiem zachęca, pobudza i dodaje odwagi.

To samo spotykamy i w życiu duchownem. Widzimy często bez długiego badania, jak ten lub ów zapatruje się na religję, czy poważnie, czy z lekceważeniem i wkrótce, nieraz aż nadto wcześnie spostrzegamy wrażenie i wpływ, jaki wywarł na swe otoczenie. Ciężko płynąć przeciw prądowi i fala przykładu porywa wszyst-

kich, jeżeli się jej energicznie oprzeć nie potrafią. Przeciwnie w szlachetnem i dobrem otoczeniu staje się człowiek również dobrym i szlachetnym. Przykład może nas umocnić w dobrem, wstrząsnąć naszą obojętnością i nawrócić ze złej drogi. Nawet człowiek przewrotny ulega często dobrym przykładom; dobro samo ze siebie wśliźgnie się do jego duszy i zapuści trwałe korzenie. Podobnie i człowiek słaby potrzebuje dobrego przykładu, który jak mówi św. Augustyn: „poprawia i pomaga".

Jak wielką potęgą moralną jest przykład, najlepiej zrozumiemy, gdy będziemy się nań zapatrywać z przeciwnego punktu widzenia, t. j. ze strony zgorszenia. „Biada światu dla zgorszenia" woła Zbawiciel (Mat. 18, 7). Zgorszenie działa jak niszcząca choroba zakaźna. Zło tryumfuje tak często — nie dlatego, aby się rodziło w głębinie serca ludzkiego, lecz głównie z tej przyczyny, że przez zły przykład jak zapalna iskra przenosi się z jednej duszy do drugiej.

Stąd najwięcej złego w świecie — stąd ten wczesny zaród zepsucia, wydający później owoc grzechu, w którym dusza pozostaje nieraz lata całe, nie daj Boże do śmierci. A ponieważ złe schlebia więcej zmysłom i sprzyja naszym wrodzonym przyziemnym skłonnościom, przeto sama nasza natura lgnie do niego i z tego powodu bywa zły przykład tak często zwycięskim i deprawującym. Jedynem lekarstwem, niweczącem jego złe skutki może być tylko dobry przykład — potrzeba jednak dużo dobrego przykładu, aby choć w cząsteczce naprawić to, co zgorszenie złego zrobiło. Niech więc każdy pamięta na słowa św. Pawła: „postanówcie, żebyście nie dawali obrażenia albo zgorszenia bratu". (Rzym 14, 13) Dla tercjarza nie wystarcza nie dawać zgorszenia — powinien sam świecić dobrym przykładem, pamiętając, że nie tylko sami mamy być cnotliwymi i świętymi, ale starać się, by i bliźni nasi szli po drodze Bożej. Sprawiedliwy jest

jako żarzący węgiel w ukryciu, natomiast do gorejącej lampy można porównać człowieka, który publicznie i jawnie w pobożności się ćwiczy.

„Każdy człowiek może stać się drugiemu aniołem lub szatanem“ — mówi przysłowie, czartem przez zgorszenie, aniołem przez dobry przykład. Czy nie chciałbyś stać się aniołem ludzkości? Masz wykonywać widomie posługę, jaką Bóg zlecił aniołom-stróżom w sposób niewidzialny: powinieneś, o ile możesz chronić dusze bliźnich przed niebezpieczeństwem, strzedz od grzechu, zachęcać do cnoty, a jeżeli nie masz do tego wszystkiego żadnej sposobności, powinieneś przynajmniej budować drugich swojem nienagannem zachowaniem i życiem cnotliwem. Jako tercjarz masz święty obowiązek dawać wszystkim dobry przykład. Często sądzi się z jednego członka o całej rodzinie, a więc i cały III zakon podług jednego tercjarza lub jednej tercjarki. Może właśnie niekorzystne sądy o całem tercjarstwie mają swe źródło w tem, że ten lub owa nie żyje tak, jakby się należało spodziewać po członkach III Zakonu. Cnotliwe życie członków jest najlepszą dla całego III zak. propagandą, a zgorszenie jednego z nich wielką krzywdą dla zakonu, bo godzi w dobrą jego sławę i odbiera mu cześć i szacunek ludzki.

Dobry przykład jest najpiękniejszem dziełem miłości bliźniego i daj Boże, aby tego dzieła miłości nigdy w tercjarstwie nie zabrakło. Głównie odnosi się do tych, którzy z woli Bożej, stojąc na świeczniku zwracają na siebie oczy wielu: n. p. wszelka zwierzchność, wychowawcy, rodzice. Dobry ich przykład rozsiewa naokoło pokój i radość — podwładnym przynosi szczęście i błogosławieństwo — Kościołowi i zakonowi chlubę, a im samym zapewnia wieczną nagrodę.

Od dawania z siebie dobrego przykładu nie powinno nas nic odstraszać — zwłaszcza żaden wzgląd ludzki.

Czyż mogliby odwracać nas od wiernej służby Boga ludzie, którzy zarówno z nami staną kiedyś przed Jego sądem? A choćby i wielu było przeciwników, to idź za zdaniem św. Bonawentury: „jeżeli chcesz żyć uczciwie, żyj tak jak ci w małej liczbie, gdyż mało tylko jest wybranych". Choćbyś nawet znalazł się sam jeden, jeżeli Bóg jest z tobą, nie potrzebujesz obawiać się nikogo. Pierwsi chrześcijanie nie lękali się ani więzienia, ani męczeństwa, ani śmierci, a ty miałbyś się obawiać ludzi?

Nie psuj jednak swego dobrego przykładu mniej szlachetną intencją. Nie dla wzbudzenia pochwał lub innych ziemskich pobudek masz żyć pobożnie i święcie, ale jedynie, by twoi bliźni, „chwalili Ojca, który jest w niebiesiech", aby wszyscy dążyli do Boga i żyli podług jego świętych przykazań.

Nie żąda się od ciebie nic nadzwyczajnego — jedynie prawego i dobrego życia. „Bądź przykładem dla wiernych w mowie, w obcowaniu, w miłości, w wierze, czystości" (I Tym. 4, 12) pisze św. Paweł. Gdy zachowasz przykazania Boże, kościelne i przepisy twej reguły — temsamem dasz dobry przykład bez żadnych nadzwyczajności.

Św. O. Franciszek przywołał raz jednego z Braci i rzekł mu: „chodźmy powiedzieć kazanie. Św. Patryarcha szedł drogą skromny i pokorny — w grubym habicie, ręce ukryte w rękawach, wzrok spuszczony — tożsamo towarzyszący mu braciszek. Przeszli w milczeniu ulice miasteczka, w takiem samem milczeniu udali się do pobliskiej wioski, potem św. Ojciec zawrócił z drogi i ciągle milcząc powrócił do klasztoru. Zdziwiony braciszek zapytał go z pokorą: „Ojcze miałeś ludziom powiedzieć kazanie?". Na to odrzekł św. Ojciec: „Owszem bracie, powiedzieliśmy kazanie — przykładem".

I twoje życie ma być takiem kazaniem, a nawrócisz grzeszników i pobudzisz do gorliwości obojętnych chrze-

ścijan więcej, niż przez cuda. To jest twoje apostolstwo, które zawsze i wszędzie spełniać możesz przez życie prawdziwie chrześcijańskie, czy to w pracy, czy w wypoczynku — czy w kościele lub w domu, w szczęściu lub cierpieniu, w rozmowie i modlitwie, słowem w każdej swojej czynności.

Abyś jednak mógł dawać dobry przykład, musisz i ty uważać na dobry przykład innych i starać się go naśladować: bo i ty potrzebujesz zachęty i mężnej, stanowczej woli przez wzniosłe, szlachetne wzory. Takich zaś wzorów szukaj nie tylko na ziemi — ale przedewszystkiem najwspanialsze znajdziesz w niebie między Świętymi serafickiego zakonu. Przypatruj im się często i naśladuj je — wtenczas i ludzie na świecie będą z twego życia brać wzór i przykład. *X.*

Natura i Łaska.

Obrazek sceniczny.

ODSŁONA IV.

Osoby: Zosia, Jula, Matka Zosi, Marysia, (służąca), Gromada dzieci.

Od ostatniej sceny upłynęło kilkanaście miesięcy. Zosia pod wpływem Łaski, zmieniła się nadobre, na ponęty świata stała się zupełnie obojętną. Zrazu nosiła się z zamiarem wstąpienia do klasztoru, ale w czasie długich modlitw, otrzymała od Boga natchnienie, aby pozostać na świecie i oddać się życiu apostolskiemu. Pociągnęła ją szczególnie praca nad biednemi, opuszczonemi dziećmi. Taką teraz na scenie Zosię zobaczymy.

Scena przedstawia pokój Zosi.

Scena I.

Kurtyna się odsłania — wchodzi Zosia, prowadząc gromadkę dzieci.

Zosia: Chodźcie, chodźcie, a nóżki dobrze wycierajcie. (podaje im stołki). Tu sobie na stołeczkach grzecznie posiadajcie.

Ludwik: (rzucając się na pierwsze miejsce) Ja tu siedzę!...

Kazia: (trącając Ludwika). Przecież ja wczoraj tu siedziałam!

Zosia: Kaziu! Ludwiku! tego się nie spodziewałam.
(zwraca się do najgrzeczniejszego chłopca).

Jak to uczył Pan Jezus, opowiedz Jureczku.

Jurek: Uczył, by na ostatnim zasiadać stołeczku.

Zosia: Ślicznie! brawo! No dzieci, słyszycie naukę?

Jadzia: (pokazując na Wojtusia). Proszę Pani! bo ja mu dziś głowę roztłukę. On mi zawsze dokucza, szczypie mnie i bije...

Hania: Proszę pani! bo Wilkcia nigdy się nie myje. Taka brudna!...

Zosia: (opanowując zniecierpliwienie). No dzieci! już zamknąć buzieczki! Będę wam opowiadać ciekawe bajeczki.

Kilkoro dzieci krzyczy naraz: Oj, bajeczki! bajeczki! my to tak lubimy.

Zosia: A będziecie mnie słuchać?

Dzieci: Będziemy, będziemy,

Zosia: No dobrze, więc słuchajcie:

Gdy razu jednego,
Szedł Pan Jezus przez wioskę ludu żydowskiego,
Dzieci brudne, obdarte — jak wy — po drogach goniły,
Ale jak Go ujrzały, wnet się uciszyły.
Bo od Pana Jezusa szły blaski świętości,
Jak się tylko pojawił, zmuszał do cichości.
Jednak nikt się Go nie bał, wszyscy szli do Niego,
A On mile przyjmował człowieka każdego.
Tylko dzieciom uczniowie przyjść nie dopuszczali,
By się Jezus nie zmęczył, oto tak się bali.
Ale dzieci swym matkom tak się naprzykrzały,
Żeby choć raz z Jezusem sobie pogadały.
Szedł właśnie znów przez drogę, więc wzięły mateczki,
Na ręce i za ręce swe lube dziateczki
I poszły. Lecz uczniowie znów ich odganiali.
O nie wolno, nie wolno! zdaleka wołali.
A Pan Jezus ich zfukał: „I cóż wy robicie,
Czemu dziatkom niewinnym przychodzić bronicie?
Pozwólcie im niech przyjdą jaknajbliżej do mnie“.
I rzekł: „Pójdźcie dziateczki, stańcie tu koło mnie“.
A gdy przyszły, Pan Jezus tulił je do siebie,
Pieścił ich, błogosławił i mówił, że w niebie,
Tylko tacy królują, co jak dzieci małe,
Mają dusze tak czyste, jak lilijki białe.
A grożąc paluszkiem, rzekł: „pamiętajcie dzieci,
Niechaj wasza niewinność całe życie świeci!“
Gdy to mówił Pan Jezus, był tak uśmiechnięty,
Tak promienny, wzruszony, do głębi przejęty.
Raz ich jeszcze upieścił, te małe dziateczki,

I położył Swe ręce na jasne główeczki.
Wtem jak ptaszków gromada dzieci odleciały,
Krzycząc, skacząc z radości, że Pana widziały...
No, ładne?
Dzieci: Bardzo ładne! jeszcze proszę pani.
Józek: O, my teraz będziemy czyściutko ubrani.
Jurek: Idź ty! głuptasek jesteś! nie o to tu chodzi.
Zosia: A o co, powiedz Jurku, wiedzieć nie zaszkodzi.
Jurek: Żeby serce mieć czyste, ja myślę, że o to...
Zosia: Dobrze! zgadłeś Jureczku!
(W drzwiach staje służąca Marysia).

Scena II.

Marysia: (opierając się na długiej szczotce).
I znów z tą chołotą!
Lepiej już do Zakonu było iść panience,
Niż tak robić! Kto widział! tak tu jak w stajence.
To już nad moje siły, wciąż czyścić, zamiatać.
Mam ochotę tę zgraję szczotką wycharatać.
(dzieci tulą się do Zosi).
Zosia: Marysiu! odejdź proszę, co cię to obchodzi,
Że dziatwa po naukę czasem tu przychodzi!
Marysia: To mnie obchodzi, bo mnie proszę panny Zosi,
Nikt tu na pokojówkę tej zgraji nie prosił!
Mam ja błoto wymiatać po dzieciach z ulicy!?
Nie będę! niech panienka jak chce na mnie krzyczy!
Zosia; Ależ nie musisz, Maryś, ja sama zamiotę.
Marysia: Kiedy ja nie chcę więcej widzieć tę chołotę!
Zosia: (podnosi nieco głos).
I cóż ty za jedna, że śmiesz tak mianować!
Te dzieciątka niewinne? Chcesz mię z irytować?
Odejdź proszę! (Marysia ze złością odchodzi).

Scena III.

Zosia: (zwracając się do dzieci).
A teraz dam wam coś słodkiego.
(wyciąga cukierki z szufłady i rozdaje).
I pójdziecie do domu, każde do swojego.
A jutro znów przyjdziecie, o tej samej porze.
Bolek: Ja się boję, Marysia wybije mnie może?
Wikcia: Tak jak apostołowie ona nas wygania.
Józek: Dlatego, że nie mamy ładnego ubrania...
Zosia: O tem dzieci, nie myślcie, lecz przyjdźcie z ochotą,
Ja was zawsze jak Jezus, obdarzę pieszczotą.
Hania: (rzucając się na szyję Zosi).

My tak panią kochamy, my się nie boimy!
Kazia: A czy jutro cukierków także dostaniemy?
Zosia: Naturalnie! codziennie będę wam dawała.
Żeby tylko Kaziunia Bozię pokochała...
No już idźcie!
Dzieci: (wychodząc — wołają)
Dziękujemy!
Zosia: (podpowiada),
Niech będzie...
Dzieci: Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!
Zosia: Na wieki wieków. Amen. (wychodzą). — Po chwili wpada
(Marysia ze szczotkami i ścierką — zgniewem zamiata i ściera kurze).

Scena IV.

Marysia: Wiecznie to zamiatanie po obcych dzieciskach.
Niema chwilki wytchnienia, siedźta wciąż w śmieciskach.
Ani to do kościoła, ani na zebranie,
Bo wciąż trza obsługiwać te wielmożne panie.
A z tą panną dewotką to już nima rady,
Choćby jak się niechciało, musi przyjść do zwady.
(wchodzi Zosia).

Scena V.

Zosia: Maryś, ja cię nie proszę, abyś mi sprzątała
Sama sobie z rozkoszą będę zamiatała. (Wchodzi Jula).

Scena VI.

Jula: A froterować też będziesz?
Zosia: Tego już nie muszę.
To mi jest niepotrzebne, aby zbawić duszę.
(Marysia z gniewem rzuca szczotkę, szmatę i ucieka).

Scena VII.

Jula: Popatrz, Zosiu, co błota, że ci nie żal sługi,
Wiesz, że ciężko pracuje, jak cały dzień długi.
Zosia: Żal mi jej, lecz dlatego, że ciągle się złości,
Wogóle, nie rozumiem waszej pobożności.
Jeśli można, to proszę, wytłumacz mi droga,
Jakże wy pojmujecie służbę Pana Boga.
Kilkanaście miesięcy pobożność studjuję,
Lecz zupełnie inaczej od was ją pojmuję.
Jula: No, a jak ją pojmujesz może mi opowiesz.
Zosia: I owszem, tylko daruj, bo przytem się dowiesz,
Wcale niemiłych rzeczy dla ludzkiej natury.
Otóż wy na ubogich spoglądacie zgóry.
Na trud, pracę tak samo, wy tylko szukacie,
Wygody, przyjemności, od ofiar zmykacie,

Rano iść do kościoła, na piękne kazanie,
I co miesiąc na wasze tercjarskie zebranie,
Ot i wszystko! Tymczasem, ja, coś więcej widzę...
Jula: No co?
Zosia: Ty wiesz dobrze co, ja mówić się wstydzę,
Zakon Trzeci z pewnością uczy was inaczej,
Tylko nauk wypełniać drużyna nie raczy.
I dlatego jak wiesz zniechęcam się do niego.
Cóż mi z waszej reguły, cóż z paska świętego.
Jula: Mam ochotę się złościć jak zwykle na ciebie,
Ale coś mnie wstrzymuje, jakoś wchodzę w siebie.
Prawdę mówisz, masz rację, tak ci jest w istocie,
Że za mało się myśli o prawdziwej cnocie.
Ot odmówić pacierze, być codzień w kościele,
A potem, żeby tylko nie zrobić zawiele.
Zakon tak nas nie uczy, o tem niema mowy,
Tylko, że nam nauki nie idą do głowy.
Zosia: Powiedz lepiej — do serca, bo w sercu dziedzina,
Gdzie się życie pobożne prawdziewie zaczyna.
A i Pan Bóg na głowę nie bardzo uważa,
Na brak serca, nieczułość, cicho się uskarża.
Jula: Jak widzę, to ty dobrze Jezusa rozumiesz
I lepiej Go ode mnie czcić i kochać umiesz.
Zosia: Czy lepiej, nie wiem, dość że pragnę tego,
By Go kochać i całkiem należeć do Niego.
Jula: Czy wstąpisz do klasztoru?
Zosia: O! wcaleś nie zgadła,
Bo chleba klasztornego nie będę ja jadła.
Jula: Dlaczego?
Zosia: Bom niegodna. A zresztą, na świecie,
Jest co robić, wychować choćby jedno dziecię,
Dać mu poznać Jezusa, nauczyć miłować...!
Jula: Co? czy myślisz tą nędzą się zaopiekować,
I na tem strwonić życie?
Zosia: Nie mówmy dziś o tem,
Mój los roztrzygnięty, a dowiesz się potem... (wchodzi matka).
O idzie mama, dobrze. —

Scena VIII.

Matka: Cóż wy tak radzicie,
Jula: A no, mamo, radzimy, jak urządzić życie.
Zdaje się, że Zosia, już zawód obrała,
Będzie codzień tych szkrabów do domu ściągała.
Matka: Czy naprawdę?

Zosia: (ze stanowczością),
Tak mamo! Pan Bóg tego żąda!
Matka: Ależ dziecko kochane, i jak to wygląda,
Aby panna z maturą takie życie wiodła,
To praca nie dla ciebie, jest zanadto podła,
Myślisz, że ta biedota wdzięczność ci okaże?
Zosia: Szkoda mówić mamusiu, niczem się nie zrażę,
A wdzięczności nie szukam, Boga mam na celu,
I zbawienie tych biednych, a jest ich tak wielu.
Już życie na ofiarnym stosie położyłam,
Choć dotąd, droga mamo, to przed tobą kryłam,
Lecz już mówić nie mogę, przepraszam, wyjść muszę... (wychodzi).

Scena IX.

Jula: Pewnie poszła przed Bogiem wylać swoją duszę.
Matka: Czy słyszałaś jej słowa?
Jula: To chwilowe mamo.
Matka: Chwilowe? toć codziennie wyprawia to samo,
Po ulicach się włóczy, wciąż dziećmi zajęta...
Jula: Mamo, może z niej będzie jaka nowa święta.
Zostawmy ją w spokoju, chodźmy do roboty,
Czas nam wszystko pokaże, czy trwałe jej cnoty.
wychodzą — zasłona spada. Koniec. *St.*

KRONIKA.

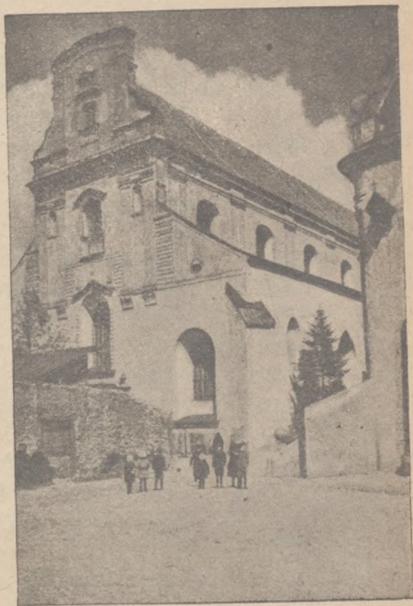
Wysoko nad Wilnem bieleją się Trzy Krzyże na górze Łysej, zwanej Trzykrzyską, będące niejako symbolem męczeństwa tej ziemi, męczeństwa długiego, ciągnącego się wiekami.

Litwa, wciśnięta między Wschód i Zachód, była tem miejscem, gdzie ścierały się fermenty sąsiadów, gdzie mieczem wyrąbywano sobie drogi ku przyszłości. Tutaj mordowały hufce rycerzy teutońskich, tutaj rabowała Moskwa z Tatarami. Wieki tych walk kształtowały psychikę ludów tych ziem, różniących się etnograficznie od ludów ich otaczających.

W historji Polski więzy łączności braterskiej zadzieżgają się jeszcze na długo przed aktem uroczystej misji personalnej władców tych dwu krain sąsiednich.

Z Polski, która na kilka wieków wcześniej przyjęła chrześcijaństwo, ruszyły wyprawy misyjne, by kraj ten pogański jeszcze, zdobyć dla wiary prawdziwej. W pracy tej biorą udział bezpośredni i czynny w stopniu najwyższym: Franciszkanie. O pierwszych tych poczynaniach nie posiadamy przekazanych wiadomości bezpośrednich, (lub też dotychczas o nich niewiemy), wieści do nas dochodzą

po przez mroki legendy, uwiecznionej w starych kronikach klasztornych, legendy, w której tak jak w każdej opowieści, gdzieś na dnie tkwi prawda.



Wilno, kościół OO. Franciszkanów.

Niesie nam wieść z przeszłości nieznanej, że jeszcze w r. 1332, wyrusza na zaproszenie P.o ra Gasztołda, dygnitarza na dworze władców litewskich, z prowincji Polskiej i wikarjatu ruskiego Franciszkanów, czternastu zakonników, znających dostatecznie język tego kraju.

I rozpoczęli w stolicy Państwa w Wilnie i okolicy swą pracę misyjną, która obfitowała w wyniki pomyślne. Jak podaje dalej legenda, te nawrócenia wywołały reakcję śród dotychczasowych przewódców duchowych ludności, kapłanów pogańskich olbrzymią nienawiść, nienawiść, która doprowadziła do mordów, a palmą męczeństwa obdarzyła pierwszych apostołów Litwy. Fakt ten, podług jednych przekazów miał miejsce w r. 1333, a podług innych, w dwanaście lat później. Siedmiu Franciszkanów zostało ściętych w siedzibie klasztornej, a na miejscu ich kaźni miało wytrysnąć źródełko, znajdujące się obecnie w kościele św. Krzyża Bonifratrów. Drugich siedmiu Franciszkanów śmierć poniosło na stokach góry Łysej, a z tych czterech ukrzyżowanych strącono ze stoków góry do wartko płynącej rzeki Wileńki, trzej zawiśli na krzyżach na górze.

Od tej chwili, szczyty te zdobiły trzy krzyże, które przetrwały wraz z legendą, wieki i gdy drzewo niszczył ząb czasu, wznoszono nowe. Dopiero po zgnębieniu powstania styczniowego, ówcześni władcy wileńscy nie pozwolili odnawiać chylących się do upadku trzech krzyży, które też zczasem rozpadły się. Dopiero w czasie wielkiej wojny światowej, gdy nadeszła chwila większej wolności, na górze Łysej wzniosły swe ramiona ku niebu Trzy Krzyże, stworzone w betonie przez artystę.

Legenda osłania i drugie męczeństwo, które też miało miejsce

w czasach pogaństwa Litwy ówczesnej, męczeństwo, gdzie już w kronikach klasztornych zachowały się imiona braci zakonnej w liczbie trzydziestu i sześciu, którzy zginęli z rąk hordy tatarskiej rabującej Litwę. Zwłoki ich według kronik późniejszych pogrzebane są na miejscu, gdzie dziś przy ul. Trockiej, stoi tak zwana kaplica Suzinowska.

Nie odstraszyło to nowych kandydatów do misji i w lat kilka, wyruszają oni do Wilna na nowy podbój bez broni i ci już doczekali się, że Litwa cała przyjęła wiarę chrześcijańską. Lecz krwi męczeńskiej było wciąż mało i tym też nie było sądzonem umierać na łożu w starości. W r. 1406 w czasie walk dynastycznych pomniejszych książąt, wpada do Wilna b. książę smoleński z bandą opryszków i znowu krwią zakonników ociekają mury klasztoru. Ciała ich spoczęły pod wielkim ołtarzem kościoła na Piaskach, gdzie zdążono wznieść mury klasztorne i kościół.

Fakty te dotarły do Rzymu i w r. 1456 urzęduje w Wilnie Komisja Papieska, mająca za zadanie zbadanie szczegółów bliższych o tych wszystkich wypadkach męczeństwa. Dotychczas nikt nie odszukał dokumentów tej komisji i trudno coś bliższego powiedzieć o jej pracach, w każdymbądź razie były one dla Zakonu pomyślne, bo na jej wniosek kościół klasztorny obdarzono licznemi odpustami i nadano tytuł: Ecclesia Venerabilissima (kościół najczcigodniejszy).

I jeszcze nieraz śmierć masowa gościć miała w murach klasztornych, gdy morowe powietrze grasowało w r. 1553 na Litwie, jeden po drugim wymierają Franciszkanie wileńscy pełniąc do ostatka posługi przy chorych i zmarłych. A gdy na nowo napełniły się cele klasztorne, najazd moskiewski w r. 1655 zbroczył krwią ofiar, niewinnie rzezanych, chroniących się w kościele mieszkańców Wilna, a z nimi i mnichów św. Franciszka.

Przetrwał klasztor wszystko; na miejsce ginących od chorób i mordów, stawali następcy. Lecz, gdy nastąpiło największe prześladowanie na Litwie, gdy po nieudanym wysiłku zbrojnym narodu, rozszalał Murawiew, Franciszkanie znaleźli się na liście skazanych na zagładę najpierwsi.

I zdawało się, że już nic nie zwróci przeszłości, że wszystko wytarte zostało z historji. Dla większej nienawiści prześladowca, chcąc zemścić się na Zakonie, który licznemi męczeństwami okupił prawo obywatelstwa, a który nie zrywał więzi łączącej z Polską Macierzą, kościół zostaje zamknięty, a mnisi rozpędzeni na wszystkie strony świata, jako żywioł politycznie niebezpieczny, zbyt jawnie głoszący swą miłość do wolności.

Mało było zamknięcia kościoła, należało go zelżyć i użyć na cele odmienne, powstaje w nim archiwum administracji; a klasztor, przez niecne intrygi oddano właścicielom nowym, magistratowi wileńskiemu.

Minęły lata i z niewoli co gnębiła nas przez całe wieki, powstała znowuż Niepodległa Rzeczpospolita. I znowu wrócili po latach do Wilna Synowie św. Franciszka i zamieszkali kątem w swoim klasztorze, albowiem nowy właściciel, magistrat ufny w tytuły nadane mu przez wroga, nie myśli o oddaniu, tego co cudze. Wyrok Sądu roztrzygnął, że Franciszkanie mają prawo do murów zwilżonych obficie krwią męczeńską swych braci, do murów, gdzie w ziemi spoczęły ich kości. Lecz niestety, dotychczas nie wróciły Mury klasztorne do prawowitych właścicieli, ponieważ magistrat odwołał się do wyższej instancji. Możemy jednak ufać, że i następne instancje potwierdzą słuszność wyroku.

Tymczasem zamieszkawszy kątem w swoim klasztorze obsługują Franciszkanie kapliczkę, która została otwarta w Murach klasztornych w r. 1905, w której to kapliczce znajduje się figura cudowna M. B. Niepokalanej.

Inaczej przedstawia się sprawa kościoła. Rząd Polski, rozumiejąc krzywdę ciążącą z przeszłości, odrazu przywrócił prawa Zakonu do kościoła z klauzulą, że faktyczne objęcie nastąpi po wyniesieniu zbiorów archiwalnych. I oto ta chwila nadeszła. Wraca kościół w tym roku, lecz raczej tylko ruina jego, bo tak wewnątrz jako też i zewnątrz są to jedynie gołe i zniszczone ściany. Należy je bezzwłocznie wzmocnić, okopać, jednem słowem zabezpieczyć od dalszego, a jednak nieuchronnego niszczenia, aby jak najprędzej przyjąć mogły w swe dostojne wnętrze rozmodlone rzesze wiernych.

My, Franciszkanie, jako Zakon żebrzący, oddając się pracy nad Zbawieniem dusz nieśmiertelnych żyjemy tylko z ofiar, to też żadnego funduszu na odnowienie kościoła nie mamy. Zmuszeni jesteśmy przeto zwrócić się z gorącą prośbą o pomoc w odbudowie prastarej naszej świątyni, o pomoc czyto w materjale, czyto w rzeczach kościelnych, czyto w pieniądzach.

Każdą ofiarę chociażby najmniejszą, oraz imię i nazwisko ofiarodawcy wpisujemy do Księgi Wieczystej Dobrodziejów Zakonu, a wzamian odprawiamy co miesiąc Msze święte, oraz wszyscy Ojcowie i Bracia całej prowincji modlą się po swoich pacierzach kapłańskich i zakonnych.

Nasze konto czekowe w P. K. O. Nr. 144.411, a adres: OO. Franciszkanie, Wilno, ul. Trocka 14. Za wszelkie ofiary Bóg zapłać.

OO. Franciszkanie wileńscy.

Jazowsko.

SPRAWOZDANIE Z WIZYTACJI.

Tercjarstwo w Jazowsku za zgodą Ks. proboszcza założył Ks. Krupiński przed 30 laty i gorliwie niem się zajmował, jednak żadnych zapisków nie prowadził, przynajmniej po jego śmierci nic nie znaleziono coby udowodnić mogło, że Tercjarstwo jako Kongregacja było kanonicznie erygowane. Dlatego obecny Administrator parafji Ks. Józef Bukowiec pragnąc sprawę wyjaśnić i należycie poprowadzić, zaprosił O. Czesława franciszk. z wizytacją. Wizytacja miała miejsce 2 i 3 czerwca. Rozpoczęto ją odśpiewaniem po Mszy św. psalmu 105 i „Veni Creator", poczem Ojciec Wizytator w przemowie wstępnej wskazał cele wizytacji.

Następnie tercjarze udali się na dalsze zebranie na plebanję. Tutaj składano relację ze stanu i rozwoju Tercjarstwa. Liczba wszystkich tercjarzy wraz z nowicjuszami 56.

Następnie przeprowadzono wybory: Do zarządu weszli: S. Kunegunda Bielówna jako przełożona, S. Julja Majerska jako zastępczyni, S. Elżbieta Klimkówna jako mistrzyni nowicjuszek, a mistrzem nowicjuszy miejscowy Ks. Dyrektor Józef Bukowiec, Br. Andrzej Słowik sekretarz, S. Karolina Pierzchała skarbniczką, S. Karolina Warzecha zakrystyjanką.

Infirmerkami SS. Karolina Wójcikówna i Elżbieta Tabor, na Obidzą SS. Juljana Majerska i Elżb. Klimek, na Brzyną. S. Kunegunda Biel na Łazy, S. Helena Połaniec na Kadczę, S. Rozalja Tokarczyk na Jazowsko. Uchwalono wkł. na 20 gr. od członka. Wkońcu uchwalono założyć bibljotekę i wypełniać ściśle regułę tercjarską.

Potem odbyło się w kościele według ceremorjału zakończenie wizytacji. W czasie sumy wygłosił Ks. Wizytator kazanie do wszystkich parafjan o ważności tercjarstwa jako najprostszym i najskuteczniejszym środku odnowienia ducha chrześcijańkiego.

Po sumie udzielił O. Wizytator zebranym tercj. Błogosł. Pap. i na tem zakończyła się wizytacja.

Podczas tej ceremonji całe tercjarstwo przystąpiło do spowiedzi św. i Komunji Generalnej, a podniesione na duchu przyrzekło spełniać jak najwierniej całą regułę trzeciego Zakonu.

Br. Andrzej Słowik.
sekretarz.

KRONIKA MISYJNA.

P. J. Chr.! Nagasaki, dnia 6 maja 1934 r.

Przewielebny O. Gwardjanie!

Składam konwentowi krakowskiemu serdeczne „Bóg zapłać" za ofiarę 305 zł. na budowę kościółka naszej misji w Nagasakach. Niech ta ofiara będzie symbolem idei misyjnej konwentu krakowskiego, który ongiś często wysyłał Braci swoich do krajów prawdziwej wiary pozbawionych.

Dotychczas mieliśmy tu kapliczkę naprędce z desek skleconą, w której umieściliśmy chwilowo P. Jezusa, oczekując z utęsknieniem chwili, gdy Go będziemy mogli do właściwego wprowadzić domu.

To też serce nam rośnie, bo fundamenty już zakładamy i budowa raźno idzie naprzód.

Będzie to kościółek nieduży, ubogi, bez ozdób napotykanych w innych kościołach. Bóg widzi, że jesteśmy ubodzy, żyjemy z jałmużny i na ozdoby nas nie stać. Ubóstwo to będziemy się starali wedle sił w inny sposób Panu Jezusowi wynagrodzić: będziemy Go często odwiedzać i z Nim się łączyć w Najśw. Sakramencie. Wiem, że miłą ozdobą tego Przybytku Pańskiego byłyby cnoty nasze, dlatego usilnie kołatamy za przyczyną Matuchny Niepokalanej do Serca Jezusowego, by wspomagało nędzę naszą i do życia świętego sił dodało.

Bardzo odczuwamy potrzebę świętego życia, jesteśmy tu bowiem małą wysepką wśród morza pogan, którzy z zaciekawieniem patrzą na nasze życie i wedle niego ideę wiary chrześcijańskiej w sobie formują. I z radością donieść mogę, że poganie zbliżają się do nas coraz bardziej, nami i naszemi hasłami interesują się coraz więcej, staliśmy się na tutejszym terenie dość popularni, jak to może O. Gwardjan wywnioskować z posłanych Mu korespondencji licznie do nas prawie dnia każdego nadsyłanych. Za wszystko niech będą Niepokalanej niewysłowione dzięki, bo nie my, lecz Ona przez nas działa.

Gdy budowa kościółka zostanie wykończona, nadeślę O. Gwardjanowi jego fotografję. A może znajdzie się w Krakowie pobożny ofiarodawca, ideę misji kochający, któryby nam zafundował do ołtarza bocznego obraz św. O. Franciszka, albo św. Antoniego, lub św. Tereni patronki misji?

Serdecznie polecamy się modłom przew. O. Gwardjana, zakonnych Braci i III. Zakonu św. O. Franciszka, byśmy godnie odpowiedzieli szczytnemu powołaniu misjonarzy i nie zdradzili P. Jezusa.

Niegodny Br. Kornel Czupryk, gwardjan.

OPŁACONO RYCZAŁTEM

ADRES ZWROTNY:
ADMINISTRACJA „POCHODNI SERAFICKIEJ"
OO. Franciszkanie — Kraków, pl. W. W. Świętych 5.
Nr. czeku P. K. O. 407.634.

KALENDARZYK NA LIPIEC

z uwzględnieniem odpustów zupełnych 3-ch Zak. Franciszkańskich (Z F) i absolucji generalnej dla członków III Zak. (A G)

1. N. 6 po Ziel. Św. *Przenajświęt. Krwi P. Jezusa.*
2. P. *Nawiedzenie Najśw. M. Panny* (A. G.)
3. W. S. Leona pap. w.
4. Ś. S. Teodora b.
5. C. S. Antoniego M. w.
6. P. Oktawa SS. Piotra i Pawła Apost. S. Łucji p.
7. S. SS. Cyryla i Metodego bp.
8. N 7. po Ziel. Św. S. Elżbiety król. wd. III. Zak. (Z. F.)
9. P. SS. Mikołaja i Tow. męcz I. Zak. (Z. F.)
10. W. SS. Siedmiu braci męcz
11. Ś. S. Weroniki p. II. Zak. (Z.F.)
12. C. S. Jana Gwalberta op.
13. P. S. Anakleta pap. męcz.
14. S. S. Bonawentury b. d. K. w. I. Zak. (Z. F.)
15. N. 8. po Ziel. Sw. S. Henryka ces. w. Bł. Angeliny wd. III Zak.
16. P. *Matki Bożej Szkaplerznej*, Pam. Kan. św. Franc. Seraf.
17. W. S. Aleksego w.
18. Ś. Bł. Szymona z Lipnicy w I. Z.
19. C. S. Wincentego z Pauli w.
20. P. Bł. Czesława w.
21. S. S. Franciszka Solana w I. Zak. S. Praksedy (Z. F.)
22. N. 9. po Ziel. Św. S. Marji Magd. Pokutn.
23. P. S. Apolinarego b. m.
24. W. Bł. Kunegundy p. II. Zak. S. Wawrzyńca z Brund. (ZF)
25. Ś. S. Jakóba Apost.
26. C. *S. Anny Matki N. M. P.*
27. P. Bł. Noweloniego w. III. Zak.
28. S. SS. Nazarego i Tow. męcz.
29. **N. 10 po Ziel. Sw. S. Marty p.**
30. P. SS. Abdona i Senny męcz.
31. W. S. Ignacego Lojoli w.

Za pozwoleniem Władzy Zakonnej i Diecezjalnej.

Redaktor O. Czesław Kellar franciszkanin.

Drukarnia „Powściągliwość i Praca" w Krakowie.